ZOFIA SZANCEROWA

ULUBIONE BAJKI

Ilustrował

JAN MARCIN SZANCER

ZOFIA SZANCEROWA

ULUBIONE BAJKI

KOPCIUSZEK I KRÓLEWICZ

PRZYGODA JASIA I MAŁGOSI

Ilustrował
JAN MARCIN SZANCER

[redacted]

Szkoła Podstawowa
Nr 2.
Uczennicy kl. VI. A
Lucynie Szubert
Za dobre postępy w nauce
i chętną pomoc we wszystkich
pracach na rzecz klasy i szkoły

Ława 1987.06.27.

wych. kl.
Mrugała

[redacted]

WYDAWNICTWA „ALFA" WARSZAWA 1986

Redaktor
Krzysztof Bereza

Redaktor techniczny
Wanda Kędzierska

© Copyright by WYDAWNICTWA „ALFA"
WARSZAWA 1986

ISBN 83-7001-092-X

WYDAWNICTWA „ALFA" — WARSZAWA 1986
Wydanie I. Nakład 250000+250 egz. Format 200×290 mm
Ark. wyd. 6,60. Ark. druk. 7,0
Skład: Zakład Poligraficzny Wydawnictw „Alfa"
Druk i oprawa: Drukarnia im. Rewolucji Październikowej
w Warszawie. Zam. 7132/11/84 P-44
Cena zł 160,—

Kopciuszek i królewicz

Prawdziwa bajka powinna się rozpoczynać tak: Pewnego razu była sobie...

Obiecuję, że i ta bajka rozpocznie się w ten sposób, ale zanim zaczniemy, króciutko opowiem Wam, jak to było w tych dawnych, dawnych czasach, których nie pamiętają ani mamy, ani babcie, ani najstarsi żyjący ludzie.

A więc nie było wtedy radia, telewizji, samolotów, ba! nie było nawet kolei. Po morzach pływały żaglowce, a na lądzie zwyczajni ludzie jeździli konno, wozami, zaś możni panowie kolasami i karetami.

Król miał oczywiście złotą karetę, a także piękny złoty zegarek i duży złocony zegar pałacowy, który wydzwaniał godziny.

Zegary i zegarki należały wtedy do rzadkości i nieraz ciekawscy podchodzili wieczorem pod okna pałacu, żeby posłuchać dźwięku zegara. Kiwali z podziwu głowami i odchodzili na palcach, aby nie zbudzić straży, która drzemała w ciemności.

Wyobraźcie sobie, że wtedy panowie nosili długie peruki z lokami spadającymi na ramiona, kapelusze z piórami, fraki, żaboty, rękawy w koronkach i kokardy przy pantoflach.

Oczywiście, najpiękniejsze pióra, koronki i kokardy zdobiły królewicza, który wyglądał jak piękna lalka.

Panie nosiły na głowie wysokie stroiki, loki i pióra, a ich jedwabne suknie miały wymyślny krój. Aby wydawać się szczuplejszymi, ściskały się w pasie sznurówkami tak mocno, że niejedna ledwo mogła oddychać.

W tych właśnie czasach zaczyna się nasza bajka!

* * *

Pewnego razu była sobie dziewczynka. Nazywała się Marysia. Kiedy miała zaledwie parę lat, spotkało ją wielkie nieszczęście — umarła jej mama.

Tatuś Marysi był człowiekiem zamożnym, dobrym, spokojnym i starał się, aby córeczce niczego nie brakowało. Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że powinien się ożenić po raz drugi, bo wychowaniem dziewczynki musi się zająć kobieta, która obdarzy ją też miłością i czułością, tak potrzebną każdemu dziecku.

Na tej samej ulicy, w skromnym domku mieszkała wdowa z dwiema podrastającymi córkami. Powodziło im się nie najlepiej i wdowa ciągle rozmyślała, co też zrobi, gdy trzeba będzie sprawić córkom piękne suknie, aby je przedstawić u dworu.

W tych czasach był taki zwyczaj, że każdą pannę, która miała być uznana za dorosłą, wpisywano na specjalną listę i zapraszano na doroczny bal u króla. Wtedy już kawalerowie mogli ubiegać się o jej rękę.

Tak więc wdowa łakomie spoglądała na okazały, otoczony pięknym ogrodem dom ojca naszej dziewczynki i wymyśliła pewien plan. Wypatrzyła, kiedy ojciec Marysi przechodzi koło jej domu, i niby przypadkiem zaczęła go codziennie spotykać.

Okazywała mu wielką serdeczność, wypytywała o zdrowie i nigdy nie zapominała zatroszczyć się o Marysię.

Nie nazywała jej inaczej niż „słodkim aniołkiem", „drogą dzieciną, której tak potrzeba matczynej opieki".

Plan się udał i nasz poczciwina, przekonany, że odnalazł prawdziwy skarb w osobie wdowy, a jego córeczka będzie miała najczulszą mamę i kochające siostry, oświadczył się. Oczywiście matka i córki cieszyły się, że wszystko poszło tak dobrze, ale wdowa udawała, że się namyśla i stroiła ceregiele, aby wpoić we wdowca przekonanie, że robi mu wielką łaskę i właściwie poświęca się dla niego.

A potem już wszystko poszło prędko.

Po ślubie macocha z córkami wniosły się do dużego, wygodnego domu i w jednej chwili przewróciły wszystko do góry nogami.

A córki kłóciły się przy tym, aż wstyd było słuchać.

Gdzie jedna chciała mieć sypialnię, druga wolała bawialnię.

Jedna chciała nowe obicia w ptaszki, druga — w girlandy.

Marysię, która powitała je tak radośnie, przepędzały z kąta w kąt. Ciągle na nią krzyczały, żeby się nie plątała pod nogami, że jest smarkata i żeby się do nich nie wtrącała, aż przestraszona dziewczynka schroniła się do kuchni. Tam usiadła przy oknie i zaczęła sypać groch swym ulubionym gołąbkom.

Mimo sporów matka i córki w jednym były zgodne: zajęły dla siebie najpiękniejsze pokoje.

Ojca przeniosły do małego pokoiku na poddaszu tłumacząc mu, że tam będzie miał więcej spokoju. — A Marysia — oświadczyły — i tak ciągle przesiaduje w kuchni, więc niech tam zostanie.

Poniewczasie poznał ojciec Marysi, kogo to sprowadził do domu. Westchnął ciężko nad dolą swoją i dziecka, ale że był z natury spokojny, pomyślał, że może uległością zjedna sobie te nieznośne pannice i ich despotyczną mamę.

Może macocha początkowo nie miała zamiaru dokuczać Marysi. Raz nawet pogłaskała ją po głowie i dała jej kawałek tortu, który został z obiadu.

Ale obie siostry były strasznie zazdrosne i zrobiły matce okropną awanturę. Zagroziły, że wyjadą do ciotki, jeżeli matka będzie rozpieszczała tę nieznośną, obcą dziewczynę, która wiecznie siedzi w kuchni i nadaje się tylko do szorowania garnków.

Matka poza swoimi córkami nie widziała świata, więc rozpłynęła się we łzach i przeprosinach.

Od tej chwili Marysia nie miała już na co liczyć.

Macocha zapędzała ją do najgorszej roboty, kazała zmywać, sprzątać, a miedziane rondle i patelnie szorować popiołem, aby błyszczały jak złote. Nic dziwnego, że przy takiej pracy włosy i spódniczka Marysi często były poplamione popiołem, stąd też wszyscy zaczęli ją nazywać Kopciuszkiem, a jej prawdziwe imię zapomniano.

Smutne byłoby życie Marysi, gdyby nie gołąbki, które rozweselały ją swoim gruchaniem. A jak one zabawnie kiwały główkami, gdy poważnie przechadzały się pod oknem.

Marysia szczególnie lubiła dwa srebrzyste gołąbki o koralowych nóżkach i rubinowych oczkach. Były one tak oswojone, że pozwalały gładzić się po szyi lub siadały na ręce Marysi dziobiąc groch albo okruszyny chleba. Te dwa gołąbki różniły się wyraźnie od pozostałych. Ich mądre oczka spoglądały przyjaźnie, a gruchanie było tak serdeczne, jakby chciały powiedzieć: — Nie martw się Marysiu, wszystko będzie dobrze.

Pewnej nocy zbudził Marysię jakiś szelest. Wydało się dziewczynce, że za oknem widzi jasną twarz dobrej wróżki, a przy niej dwa ulubione gołąbki, które coś jej gruchały do ucha.

Wróżka skinęła ręką w stronę Marysi. Dziewczynka poczuła się wtedy dziwnie szczęśliwa i spokojnie zasnęła. Kiedy wstała rankiem, pomyślała, że wszystko jej się pewnie śniło, a że miała jak zawsze dużo pracy, zapomniała o tym wydarzeniu.

Minęło kilka lat. Córki wdowy były już dorosłe, ale choć stroiły się w piękne suknie i koronki, nikt jakoś nie spieszył się, aby wziąć którąś z nich za żonę.

Kopciuszek wyrósł na śliczną dziewczynę, a ciężka praca i ranne wstawanie nie tylko jej nie szkodziły, ale sprawiły, że była zwinna i lekka.

Niestrudzona, biegała od jednej siostry do drugiej zawsze gotowa do pomocy. Przybyło jej też pracy niemało. Siostry nosiły rurkowane stroiki, koronkowe mankiety i kokardy przy pantoflach, a że były leniwe, nieporządne, ciągle trzeba było coś prasować lub przyszywać.

Tymczasem w pałacu dorósł królewski jedynak i sprawiał swemu ojcu niemało zmartwień.

Ciągle się nudził. Czytać nie lubił. Na polowania nie chciał jeździć, bo trzeba było wstawać o świcie. Narzekał, że nikt nie rozumie, jakie to okropne życie być następcą tronu.

Najgorsze jest to, że mu wszyscy ustępują. Kiedy gra w szachy, zawsze wygra, choćby grał najgorzej. W fechtunku zawsze on jest zwycięzcą. Damy dworu mdleją, gdy tylko na nie spojrzy. Okropność i nuda!

Król w skrytości ducha podzielał jego zdanie, że damy dworu są nieciekawe, toteż postanowił wydać wielki bal i zaprosić wszystkie panny z miasta. Może będą zabawniejsze i królewicz trochę się rozerwie.

Rozesłano więc zaproszenia. Nasze dwie pannice otrzymały je także. Radosnym okrzykom nie było końca. Zaczęły się długie, trwające całe dnie narady. Krawcowe, modniarki i szewcy kręcili się po domu od rana do wieczora. Kokardy, peruki, pióra, kremy, wybielające maście i perfumy zalegały pokoje.

Kopciuszek musiał codziennie o świcie zbierać rosę z kwiatów, bo młodsza siostra bieliła nią sobie twarz, na której rozsiadły się gęsto zabawne piegi.

Wreszcie nadszedł oczekiwany dzień i panny zaczęły się stroić na bal. Kopciuszek zwijał się, jak mógł. Trzeba pomóc przy ubieraniu, to i owo odprasować, tu się coś odpruło, tam zgniotło.

Starsza siostra krzyczy, że za słabo jej ściąga sznurówkę. Ledwo już oddycha, a woła: „jeszcze"! Chce być w talii cienka jak osa, a zjadane po kryjomu słodycze sprawiły, że panienka przytyła i z zazdrością patrzy teraz na wiotką postać Kopciuszka.

Młodszej nie pomogły kremy ani rosa — na nosie ma sporo piegów, więc chce wymyślną fryzurą dodać sobie urody.

Nadeszła wreszcie wystrojona mama i wszystkie trzy odjechały wynajętą karetą.

„Jak cicho po ich odjeździe, jak pusto... i jak smutno" — myśli Kopciuszek.

W pałacu królewskim pozapalano wszystkie światła, oświetlono ogród, niebo zrobiło się różowe od blasku i łunę widać aż tutaj.

A za domem ojca mgła osiadła nad ogrodem, biała i srebrna unosi się nad ziemią jak lekka tkanina balowej sukienki.

„Ach, gdybym mogła pobiec i choć przez okno spojrzeć w głąb królewskiej sali na te piękne panie i strojnych kawalerów" — myśli Marysia. „Gdybym mogła usłyszeć dźwięki królewskiej kapeli. Może choć z daleka zobaczyłabym królewicza...! Ale w tej połatanej sukienczynie i za dużych chodakach straż pałacowa nie wpuściłaby mnie nawet za bramę wjazdową. Wyglądam jak żebraczka, prawdziwy kopciuch ze mnie" — wzdycha dziewczyna. W oczach jej kręcą się łzy.

I przez zasłonę tych łez widzi nagle piękną panią o promiennym uśmiechu, prześwietloną jakby światłem księżyca.

Marysia myśli, że to majak i przeciera oczy, ale piękna pani nie znika i odzywa się serdecznie: — A więc na taką śliczną dziewczynę wyrosło to maleństwo, które kiedyś kołysałam w ramionach.

Byłam przyjaciółką twojej biednej mamy. Dawno opuściłam te strony, podróżowałam w innej części świata. Ale wiem o tobie wszystko. O twoich zmartwieniach i o ciężkiej pracy...

Nie martw się, kochanie. Los dla każdego ma jakieś niespodzianki, ma je i dla ciebie... Przekonasz się już wkrótce...

A teraz biegnij do ogrodu i przynieś mi najpiękniejszą i najdojrzalszą dynię, jaką znajdziesz.

Marysia ze zdziwienia nie powiedziała ani jednego słowa, tylko patrzyła szeroko otwartymi oczami, a potem posłusznie pobiegła do ogrodu, dziwiąc się w duchu, co dynia ma wspólnego z niespodzianką, która ma ją spotkać.

Po chwili dźwigała wielką, złotą dynię, tak ciężką i dużą, że ledwie ją objęła.

Wtedy piękna pani skinęła czarodziejską laseczką...

Na ziemi pojawiła się klatka, w której popiskiwały dwie małe myszki i ruszał wąsiskami gruby szczur.

Kopciuszek nie miał już wątpliwości, że to potężna i dobra wróżka.

Ach! Ulubione gołąbki, które tak chętnie dziobały groch, frunęły niosąc w dziobkach srebrną mgłę tak zwiewną, jak tkanina balowej sukienki.

Wróżka wykonała ruch laseczką i owinęła Marysię mgłą, strzepnęła na nią kilka brylantów rosy, parę płatków róży i... zamiast ubogiego Kopciuszka stała strojna, piękna dziewczyna.

Następne skinienie pałeczki... dynia zaczęła rosnąć, pęcznieć i po chwili złocista kareta czekała na zaprzęg.

Myszki piszczały i biegały niespokojnie, jakby się domyślały, że i z nimi coś się stanie...

Wróżka pochyliła się i, nim zdążyły umknąć, dotknięciem pałeczki w jednej chwili przemieniła obie w piękne rumaki, niecierpliwie bijące kopytami w ziemię. Wąsaty szczur siedział na koźle i dziarsko strzelał z bata.

— To niemożliwe, ja chyba śnię... — powiedziała wreszcie Marysia, z niedowierzaniem patrząc na swoją piękną sukienkę i atłasowe, srebrne pantofelki.

— Nie, dziecinko, to nie sen. Marzyłaś, żeby choć z daleka spojrzeć na bal, prawda? — spytała wróżka.

Marysia skinęła głową.

— A więc siadaj i jedź! Baw się dobrze! Pamiętaj tylko o jednym — mój czar kończy się o północy. Jeżeli nie opuścisz wcześniej zamku, na środku sali balowej zostanie biedny Kopciuszek zamiast strojnej panny. No, jedź, już czas...

Salzota P. Nr 2.

Wróżka uściskała Marysię, zatrzasnęła za nią drzwiczki karety, uniosła się w górę i płynąc łagodnie w powietrzu wskazywała drogę.

Kopciuszek kołysał się na miękkich poduszkach i oszołomiony tym wszystkim myślał z obawą, czy też potrafi ukłonić się królowi. Co zrobi, gdy ją ktoś poprosi do tańca? A najbardziej niepokoiło ją, co będzie, jeżeli rozpoznają ją macocha i siostry.

„Ach, — pocieszała się — w takim tłumie nikt mnie nie dostrzeże. Zresztą... na balu będzie tyle pięknych dam... Kto by tam na mnie zwracał uwagę"...

Tymczasem kareta wjechała w bramę pałacową. Woźnica strzelił parę razy z bata, zatrzymał konie, zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki.

Kopciuszek wyskoczył lekko na ziemię. Dwaj lokaje otwarli szeroko podwoje pałacu i dziewczyna wbiegła do bogatego przedsionka, z którego schody prowadziły do komnat balowych.

Po marmurowej posadzce leciutko stukają srebrne pantofelki, a na wprost Kopciuszka biegnie jakaś piękna księżniczka. Ma zarumienioną twarzyczkę, smukłą figurkę i przepiękną suknię. Marysia uśmiecha się i składa swój pierwszy ukłon.

O dziwo! Tamta kłania się także...

„Jaka ona piękna, wytworna i grzeczna" — myśli Kopciuszek.

Podbiega jeszcze kilka kroków i kłania się jeszcze niżej...

Piękna nieznajoma robi to samo, a kiedy Marysia podnosi zdziwione oczy, spostrzega, że to jej własne odbicie w lustrze.

Pierwszy raz zobaczyła, jak wygląda w balowej toalecie i to ją na chwilę oszołomiło. To ona! Naprawdę ona... poniewierany, przepędzany Kopciuszek!

Uśmiechnęła się szczęśliwa i lekkim krokiem wbiegła po schodach wiodących do balowej sali.

Bal się zaczął przed godziną. Pałac lśni od złota i światła. Panie, panienki z mamami i ciociami stoją pełne wyczekiwania i niespokojnie zerkają w stronę króla.

Marszałek dworu biega bezradnie, rozkłada ręce i coś królowi tłumaczy. Król czerwony ze złości stuka berłem o poręcz tronu i nachyla się do królewicza.

Królewicz nadąsany przecząco kręci głową... nie, nie zacznie balu, nie podobają mu się panny... są brzydkie, nudne i okropnie poubierane. Co robić? Marszałek dworu każe roznosić cukry i lody, aby jakoś ratować sytuację. Orkiestra zaczyna grać, ale dopóki królewicz nie wybierze jednej z panien i nie otworzy balu, nikt tańczyć nie może. A cóż to za bal bez tańców!

Nagle w drzwiach sali staje prześliczna panna. Lekko podbiega do stopni tronu i składa głęboki ukłon królowi. Królewicz zrywa się ze swego miejsca, podaje rękę nieznajomej i wyprowadza ją na środek sali. Goście ustawiają się w długi szpaler, panie po jednej, panowie po drugiej stronie.

Głęboki ukłon. Królewicz rozpoczyna tańce. Król jest uszczęśliwiony. Kopciuszek czuje się jak we śnie. Ona, która marzyła, by choć przez okno spojrzeć na salę balową, tańczy z samym królewiczem.

Piękny jest ten królewicz. Strojnie ubrany w atłasy i pióra. Tylko czemu patrzy na nią tak zuchwale i czemu tak mocno ujął jej rękę. Kopciuszek wyrywa się i przebiega kilka kroków do przodu.

— Co za czarująca, nowa figura taneczna — dziwią się dworacy, a wszystkie panny natychmiast starają się naśladować Kopciuszka.

„Jaka ona inna — myśli królewicz. — Nie paple bez ustanku, nie przewraca oczami i nie wzdycha co chwila".

— Kim jesteś? — pyta.

Dziewczyna spuszcza oczy i uśmiecha się leciutko...

— Zgadnij Wasza Wysokość...

— Może zamorską księżniczką? A może leśną boginką, która przybyła, aby mnie pokochać? — pyta królewicz.

— O!... zarozumiały jest ten piękny pan — myśli Marysia i przeczająco kręci głową.

Królewicz jest coraz bardziej zaciekawiony.

Wśród tańca pełnego ukłonów, przejść i spotkań stara się wybadać tajemniczą nieznajomą, która zbywa jego natarczywe pytania wdzięcznym uśmiechem i wymijającymi słowami.

Królewicz nie przyzwyczajony do oporu zaczyna się niecierpliwić; nie przerwie tańca, dopóki się czegoś nie dowie, postanawia.

Orkiestra ledwo żywa ze zmęczenia. Inne pary dawno odpoczywają, tylko tych dwoje tańczy, jakby poza nimi świat nie istniał.

— Powiedz choć swoje imię — prosi królewicz...

Marysi kręci się w głowie od tańca i od słów królewicza...

Wtem zegar zaczyna dzwonić: jedno, dwa... trzy uderzenia...

Dziewczyna spogląda i widzi obydwie wskazówki na godzinie dwunastej. Teraz dopiero przypomina sobie przestrogę wróżki i serce zaczyna jej bić niespokojnie. Jeszcze tylko kilka uderzeń i czar przestanie działać...

A królewicz nie chce puścić jej ręki.

— Czy zostaniesz moją żoną? Kocham cię...!

— Nie! Nie mogę — wykrzykuje Kopciuszek i wyrwawszy się, jak wicher zbiega po schodach.

A zegar bije... bije...

„Aby tylko dopaść bramy" — myśli Kopciuszek.

Za nią po schodach biegną: marszałek dworu, damy, panowie...

„Prędzej! Nie zdążę!“ — myśli przerażona dziewczyna. Potyka się, gubi pantofelek i z ostatnim uderzeniem wymyka się za bramę.

Traach... złota kareta rozpadła się i rozłupana dynia leży w przydrożnym rowie. Po myszach i szczurze ani śladu. Piaszczystą drogą biegnie Kopciuszek, biegnie co sił, aby z oświetlonej księżycem równiny dostać się do ciemnego lasu.

A może pogoń już się zmęczyła? Nie, królewicz zdążył wskoczyć na konia i z kilkoma towarzyszami goni za uciekającą.

Ale wróżka nie opuściła Marysi.

Do Kopciuszka las się przybliża, a od pościgu oddala. Królewiczowi wydaje się, że ta droga nigdy się nie skończy. Dziewczyna — którą już, już miał dosięgnąć — niknie w oddali i ledwie można dostrzec jej jasną sukienkę. Ale królewicz jest uparty. Zaciska zęby i ściska nogami boki konia. Lecą jak burza, jeszcze trochę i dogoni ją...

Nareszcie zbawczy las przyjmuje Marysię w swój cień. Brak jej tchu, ale nie ustaje w biegu i chroni się w głębokie zarośla jeżynowych krzewów. Cierniste krzaki rozstępują się przed nią i pokazują ścieżkę, wiodącą do leszczynowej kępy, w której cieniu zmęczony Kopciuszek może wreszcie przystanąć. Wtedy wróżka prędko spuszcza małego pajączka, aby zasnuł krzaki leszczynowe misterną siatką pajęczyny.

Królewicz, któremu serce biło z miłości i ze zmęczenia, nie zrezygnował z pościgu, zeskoczył z konia i pobiegł za dziewczyną nie zważając na to, że krzewy darły w strzępy jego piękne koronki i atłasy. Zdawało mu się, że widział ją ot, tam... koło tej leszczynowej kępy. Właśnie księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił leszczynę. Nietknięta siatka pajęcza lśni na jej gałązkach.

Królewicz zatrzymał się bezradny. Niepodobieństwo, aby ktoś mógł się tu schować, nie zerwawszy ani jednej pajęczej niteczki. Z ciężkim westchnieniem siada na konia i ze spuszczoną głową wraca do pałacu.

A Marysia idzie popłakując do domu i tuli do siebie atłasowy pantofelek, jedyną pamiątkę po tym, co wydarzyło się tej nocy. Zawsze pamiętać będzie ten bal i zawsze będzie kochać pięknego królewicza. Przykro jej tylko, że tak z niej zadrwił. Czemu pytał, czy chce być jego żoną? To żart zbyt okrutny. Żoną królewicza może być tylko prawdziwa księżniczka, a nie biedna dziewczyna, na którą w jej codziennym ubraniu nawet by nie spojrzał.

„Trudno. Będę miała przynajmniej co wspominać" — myśli Marysia wchodząc do domu. Zaczyna sprzątać i porządkować mieszkanie. Za chwilę wróci macocha z siostrami, a nie powinny się domyślić, że i Kopciuszek miał swoją czarodziejską noc...

Siostry wróciły rozczarowane i skwaszone. Królewicz nie tylko nie zatańczył z nimi, ale o młodszej powiedział „piegowata" — sama to słyszała. Starsza zjadła tyle słodyczy, że teraz ledwo dyszy, więc woła Kopciuszka, aby jej prędko rozsznurował gorset.

Macocha była zupełnie załamana. Rozwiały się jej nadzieje, że córki znajdą na tym balu kandydatów na mężów.

Na pytanie Kopciuszka jak się bawiły, odburknęły, że świetnie.

Gdy spytała, z kim tańczył królewicz, odpowiedziały, że z jakąś zamorską księżniczką, ich zdaniem, za chudą.

Tymczasem w pałacu zrobiło się istne piekło!

Królewski jedynak po raz pierwszy w życiu spotkał się z odmową!

A co gorsza, tajemnicza nieznajoma znikła w niepojęty sposób i jedyne co po niej pozostało to maleńki,srebrny pantofelek znaleziony na dziedzińcu pałacowym.

Królewicz szalał, rozsyłał pogoń na wszystkie strony. Sam nawet wstał o świcie i pognał konno szukać swej wybranej. A im bardziej malała nadzieja na jej znalezienie, tym droższą wydawała się sercu królewicza.

Wreszcie, kiedy wszystkie poszukiwania zawiodły, królewicz wpadł w rozpacz, powiedział, że się zrzeka praw do tronu, położył do łóżka i oświadczył, że umiera z miłości.

Stary król biegał po komnacie i wołał zrozpaczony do ministrów:

— Co robić? Co robić? Radźcie, do licha! Za co wam płacę?!!

Ministrowie zrobili mądre miny, poprzykładali palce do czoła, ale jakoś nic nie przychodziło im do głowy.

Nagle Wielki Ochmistrz wykrzyknął:

— Mam, Najjaśniejszy Panie! Mam! Pantofelek!

— Eee! — machnął ręką król — Tyle to i my mamy.

— Ale, Najjaśniejszy Panie, można ogłosić, że od jutra będziemy mierzyć pantofelek wszystkim pannom w mieście. Jest tak mały, że pasować może na jedną tylko nóżkę... tej, która go zgubiła.

— Można spróbować — zgodził się król. — Ale jeżeli to naprawdę była zamorska księżniczka, to szukaj wiatru w polu...

Natychmiast rozesłano na miasto heroldów. Dwaj dźwiękiem trąb przywoływali mieszkańców, a trzeci odczytywał zarządzenie królewskie:

Jutro od samego rana sam Wielki Ochmistrz będzie w każdym domu w mieście przymierzał osobiście wszystkim pannom pantofelek, zgubiony przez tę, która podbiła serce królewicza. Ta panna, na której nogę pantofelek będzie pasował, zostanie żoną następcy tronu.

Można sobie wyobrazić, co się potem zaczęło dziać w mieście...

Wszystkie panny szukały sposobu na to, aby pantofelek okazał się odpowiedni na ich miarę. Jedne moczyły nogi w wywarach ziołowych. Inne, bardziej pomysłowe, skrępowały nogi między dwiema deszczułkami, co było ogromnie bolesne, jednakże nadzieja, że dzięki temu wydadzą się za królewicza, sprawiła, że cierpliwie znosiły ten zabieg.

Większość panien nie zasnęła tej nocy, a w wielu domach świeciło się w oknach do białego dnia.

Od rana ochmistrz zabrał się do pracy, która nie okazała się wcale łatwa. Chociaż pantofelek na jedwabnej poduszce niósł za nim paź, od samego przyklękania i mierzenia Wielki Ochmistrz porządnie się zasapał. Obszedł już wszystkie domy w śródmieściu, jak dotąd bez rezultatu. Zmęczony, przeklinał swój pomysł z mierzeniem pantofelka i bez żadnej już nadziei wstąpił do znanego nam domu.

Siostry przyjęły go radośnie, zapewniając, że pantofelek na pewno będzie w sam raz, ale ani jedna, ani druga nie zdołała wtłoczyć weń stopy.

— Czy nie ma tu jeszcze jakiej dziewczyny? — zapytał ochmistrz.

— Nie, skądże znowu, mam tylko te dwie kochane córeczki — zaprzeczyła macocha.

№2

— Taak... No, to przepraszam — powiedział z ciężkim westchnieniem Wielki Ochmistrz i wyszedł z domu. Był już na podwórku, gdy wtem stadko gołębi z głośnym gruchaniem pofrunęło w górę...

Ochmistrz spojrzał za nimi i spostrzegł, że z okienka na poddaszu wychyliła się jakaś dziwnie znajoma buzia, a mała rączka zaczęła sypać groch. Zawrócił pędem i wielkimi susami wbiegł na schody, potrącając po drodze obie siostry, które patrzyły za nim nic nie rozumiejąc.

— Mamo, mamo, co się dzieje?! — zawołały i pobiegły schodami na strych, zobaczyć czego tam szuka tak wielki pan, a za nimi pospieszyła zaniepokojona mama.

Gdy zdyszane stanęły na poddaszu, zobaczyły coś, co przeszło wszelkie ich wyobrażenie.

Zarumieniona Marysia siedziała na zydelku, a Wielki Ochmistrz klęczał przed nią, opierając o swoje kolano jej nóżkę, obutą w srebrny pantofelek!

Siostry o mało nie pękły z zazdrości, patrząc na zgrabne nóżki Kopciuszka.

Tymczasem ochmistrz pocałował z szacunkiem czubki paluszków Marysi, podał jej ramię i sprowadził ją ze schodów.

Kopciuszek wzdragał się, tłumacząc, że nie może przecież w tej połatanej sukience jechać na zamek, że królewicz przestraszy się, gdy ją zobaczy...

Na szczęście dobra wróżka czuwała.

Nie chciała wprowadzić zbyt wiele zamieszania swoim zjawieniem się, ale oswojone gołąbki przyniosły Kopciuszkowi piękny strój weselny.

Pod drzwiami już stała królewska kareta, zaprzężona w sześć pięknych koni.

Specjalny goniec pojechał zawiadomić królewicza.

Kiedy karoca zatrzymała się przed pałacem, królewicz czekał u wejścia. Skłonił się tak nisko, że pióra jego kapelusza dotknęły ziemi, a potem delikatnie ujął rękę Marysi i poszli razem do starego króla, który uściskał Kopciuszka jako swoją synową.

Potem był ślub. Po ślubie wesele. Kapela grała do rana, wszyscy świetnie się bawili.

Były też obie siostry i macocha, bo Marysia wszystko im wybaczyła, a nawet znalazła mężów dla nich.

Starsza wyszła za nadwornego cukiernika i mogła odtąd objadać się słodyczami, kiedy tylko miała ochotę. Młodszą poślubił nadworny malarz, któremu bardzo podobały się piegowate noski. Kiedy się sprzeczali, zawsze groził, że jej domaluje jeszcze więcej piegów. Ojciec Marysi został odznaczony Wielkim Orderem Łagodnego Jagnięcia.

Marysia była szczęśliwa ze swoim królewiczem.

Srebrny pantofelek trzymano w oszklonej gablotce, zamykanej na złoty kluczyk, który królewicz nosił zawsze przy sobie.

Przygoda Jasia i Małgosi

Pewnego razu w niewielkim domku na skraju lasu żyła sobie szczęśliwa rodzina — drwal z żoną, synkiem Jasiem i córeczką Małgosią. Dobrze im było razem, choć oprócz domku nic więcej nie mieli, beztroski śmiech dzieci rozbrzmiewał od rana do wieczora, radując serca rodziców.

Ojciec wyruszał do pracy wczesnym rankiem, pamiętając zawsze o tym, by uściskać na pożegnanie dzieci i przykazać Jasiowi, aby jako mężczyzna opiekował się matką i siostrą. Powracał do domu zwykle późnym popołudniem, ale pewnego dnia wrócił wcześniej i oznajmił Jasiowi i Małgosi, że ma dla nich niespodziankę. Kiedy ostrożnie rozpiął kurtkę, dzieci zobaczyły parę czarnych ślepek spoglądających bardzo poważnie i bardzo niepewnie, a gdy wyciągnęły ręce, natrafiły na coś miękkiego, puszystego i ciepłego. Po chwili malutki piesek był już w objęciach Małgosi i z zapałem lizał jej policzek różowym, gorącym języczkiem. Odtąd jeszcze weselej było w domku drwala, piesek stał się dla dzieci najlepszym towarzyszem zabaw i przyjacielem.

Dzieci kochały wszystkie zwierzęta. Potrafiły podkraść się do kolorowego ptaka, który przysiadł na gałęzi w gęstwinie, lub do śpiącej w słońcu jaszczurki, a potem przyglądać się im długo bez jednego ruchu i słowa, by ich nie spłoszyć. Raz nawet wypatrzyły nad rzeką piękną wydrę. Trwała nieruchomo na kamieniu, a potem plusnęła nagle w wodę i znikła, tylko kręgi fal rozchodziły się jeszcze przez chwilę w tym miejscu na powierzchni rzeki.

*

* *

Tymczasem, w królestwie, gdzie toczy się nasza opowieść, nie działo się dobrze.

Król był bardzo lekkomyślny i leniwy. Nie chciało mu się zajmować sprawami państwa. Mówił, że od tego ma ministrów. Wydawał masę pieniędzy, kupował niezliczone ilości pięknych przedmiotów, urządzał wspaniałe polowania, na które spraszał licznych gości, na jego rozkaz każdego wieczora w parku pałacowym zapalano sztuczne ognie. Jednym słowem, zamienił swoje życie w jeden wielki festyn i bawił się beztrosko razem ze swą żoną, piękną królową, która na każdy dzień roku miała inną suknię i urządzała całonocne bale, koncerty lub przejażdżki łodziami, w otoczeniu strojnych pań i panów.

Pewnego dnia jeden z ministrów, sądząc, iż królowa wzruszy się może losem biedaków, powiedział, że jest wielu ludzi, którzy nie mają chleba. Królowa, która właśnie skończyła śpiewać przy akompaniamencie gitary, popatrzyła zdziwiona.

— Jeżeli nie mają chleba, czemuż nie jedzą ciastek? — powiedziała i odeszła do nowej zabawy.

Tak więc biedacy w tym kraju nie mieli na co liczyć.

* * *

W znajomej nam rodzinie wydarzyło się nieszczęście.

Ścięte drzewo upadło na nogę drwala. Chorował przez długie miesiące, a kiedy wrócił wreszcie do zdrowia, okazało się, że zarządca królewskich lasów przyjął już na jego miejsce kogoś innego. Drwal pozostał bez pracy.

Bieda zaczęła zaglądać do małego domku pod lasem. Trzeba było wyprzedawać co lepsze ubrania i sprzęty, aby kupić trochę jedzenia. Na ubraniach dzieci i rodziców pojawiły się pierwsze łaty, potem przybywało ich coraz więcej. Rodzicom kroiły się serca, gdy patrzyli na smutne, blade dzieci i dom pustoszejący z dnia na dzień. Starali się nie okazywać przygnębienia, ale dzieci nieraz widziały, jak tata, aby oszukać głód, pił wodę ze studni.

Aż pewnego dnia nie było już w chacie ani jednej okruszyny chleba, ani jednej kropelki mleka. Mama dała dzieciom po dzbanuszku i wyprawiła je do lasu.

— W lesie znajdziecie poziomki i jagody. Na pewno będą wam smakowały — powiedziała.

Powierzyła Małgosię opiece braciszka, przykazała obojgu, by wracali przed zachodem słońca, i ucałowała ich na drogę.

Uradowane dzieci pobiegły do wspaniałego lasu, w którym rosły ogromne, tajemniczo szumiące dęby, smukłe sosny pachnące żywicą, białe brzozy w strojnych sukienkach i różne inne drzewa o nieznanych im nazwach. Biegały po zielonym leśnym dywanie, napotykając co chwila to krzaczki czarnych jagód, to kępy czerwonych poziomek. Wkrótce dzbanuszki były pełne i dzieci przysiadły, aby zjeść swój leśny posiłek. Właśnie w chwili gdy go kończyły, zobaczyły zajączka, który wychylił się zza krzaków, stanął słupka, a potem dał wielkiego susa w kępę leszczyny.

— Jaki śliczny! — krzyknęła Małgosia i zerwała się, aby go dogonić.

— Wracaj Małgosiu! — wołał Jaś biegnąc za dziewczynką.

Kto by tam dogonił zająca! Śmignął tylko i przepadł w gęstwinie, ale dzieci biegły dalej, aż wreszcie zabrakło im tchu i przystanęły zdyszane. Kiedy tak stały, z zarośli cichutko wynurzył się lis, przebiegł kilka kroków, zobaczył dzieci, błysnął białymi kłami i przemknął w zarośla.

Dzieci były zachwycone, pierwszy raz znalazły się tak głęboko w lesie i po raz pierwszy spotkały zwierzęta znane im dotąd tylko z opowiadań. Jak pięknie tu było! Promienie słońca oświetliły polankę, z której dochodziło miarowe stukanie dzięcioła, a ruda wiewióreczka zbiegła po pniu drzewa, przekrzywiła główkę, jakby mówiła „baw się ze mną", i już skoczyła na następny pień, aby zza niego figlarnie wyjrzeć do dziewczynki.

Małgosia śmiała się wesoło, gonitwa z wiewiórką była wspaniałą zabawą. Po chwili przyłączył się do niej Jaś i dzieci biegły coraz dalej i dalej, wcale nie wiedząc o tym, że przekroczyły granicę i weszły w las zaczarowany...

Nagle zniknęła wesoła wiewióreczka, ucichł świergot ptaków. Zrobiło się ciemno i ponuro, powiał zimny wiatr i pogubiły się gdzieś ścieżki prowadzące na polankę.

— Trzeba wracać, już późno — powiedział Jaś i dzieci zaczęły iść w stronę, gdzie — jak im się zdawało — znajdował się ich dom. Po pewnym czasie okazało się jednak, że wróciły w to samo miejsce. Spróbowały iść w inną stronę, lecz skutek był znów ten sam. Wtedy zrozumiały, że zabłądziły w tym groźnym borze. Dookoła zaczęły się rozlegać jakieś tajemnicze trzaski, stąpania i szelesty. Ponuro zawyły gdzieś wilki. Coś dużego przeleciało nisko i musnęło włosy Małgosi.

— Boję się! — krzyknęła przerażona dziewczynka i przytuliła się do brata.

— Uspokój się Małgosiu, to tylko sowa, nie zrobi ci nic złego — pocieszał siostrzyczkę Jaś, chociaż sam czuł się dość niepewnie.

— Uhu! Uhu! — odezwało się nad głowami dzieci i w ciemności zaświeciły sowie oczy.

Jaś objął Małgosię ramieniem i długo jeszcze błądzili w ciemności, potykając się o wystające korzenie. W końcu dzieci głodne, zmęczone i przestraszone siadły pod drzewem, przytuliły się do siebie i zasnęły.

Rano obudził Małgosię świergot ptaszków. Kiedy rozejrzała się dokoła, nie mogła wprost uwierzyć, że wieczorem tak się tu bała.

Cały las wydawał się pogodny i jasny w promieniach porannego słońca, przeświecającego przez gałęzie, wielkie drzewa szumiały łagodnie. Tuż obok miejsca, gdzie dzieci zasnęły, Małgosia zobaczyła wygodną ścieżkę, która zdawała się zapraszać do spaceru. „Na pewno zajdziemy tą ścieżką do domu" — pomyślała dziewczynka. Obudziła brata i wziąwszy się za ręce poszli przed siebie tam, gdzie prowadziła dróżka.

Po pewnym czasie zaczęły do nich docierać jakieś niezwykle miłe zapachy, przypominające miód lub pieczone ciasto. Dzieci dawno już nie jadły takich smakołyków, były w dodatku bardzo głodne, toteż ślinka napłynęła im do ust. Przyspieszyły kroku, a potem zaczęły biec.

Zapachy stały się mocniejsze i nagle zza drzew ukazał się malutki domek, z którego komina unosił się wonny dymek. Domek ten... czy dacie wiarę... zrobiony był z pierników, miał lukrowane kolumienki, szybki miodowe, a ponadto ozdabiały go migdały i kafelki z czekolady. Jaś i Małgosia stanęli zachwyceni, a potem powoli podeszli do domku. Nie wiedzieli, że jest on siedzibą groźnej i złej czarownicy, za której sprawą czekało ich wiele ciężkich dni.

W domku tym czarownica miała swą pracownię, gdzie warzyła zioła i przygotowywała tajemnicze zaklęcia według starej, zakurzonej księgi. Były tam też rozmaite czarodziejskie wywary, zasuszony krokodyl, szklana kula i różne inne przedmioty. Czarny kot, pomocnik czarownicy, siedział na jej ramieniu albo przechadzał się po izbie, mrucząc do siebie coś pod wąsem.

Wiedźma zaczarowała część lasu dookoła swej chaty. Gdy zobaczyła w szklanej kuli, że Jaś i Małgosia przekroczyli granicę zaklętego obszaru, postanowiła zwabić ich do siebie. To ona pochowała im ścieżki, wysłała sowę by dzieci wystraszyć, ona też rankiem rozpostarła ścieżkę prowadzącą prosto do jej domu, przebrała się za miłą staruszkę i czekała...

Jaś i Małgosia stali zapatrzeni w pachnący domek, a ich puste brzuszki wołały „jeść"! Wreszcie Jaś nie wytrzymał i postanowił odłamać piernikowe serce dla Małgosi. Jednak gdy tylko wyciągnął rękę, okienko otworzyło się i staruszka w wielkiem czepcu zawołała przymilnie:

— Nie psuj mego domku, chłopczyku! Wejdźcie lepiej oboje do środka, zapraszam was na śniadanie.

Jest właśnie kakao z pianką, są świeże bułeczki, a znajdzie się nawet czekoladowy tort! Upiekłam go specjalnie na wypadek, gdyby zjawili się niespodziewani goście. Chodźcie, chodźcie! — zachęcała przyjaźnie.

Tak więc już po chwili zgłodniałe dzieci siedziały przy stole, zajadając zapowiedziane przysmaki. Staruszka uśmiechała się mile, kotek łasił się i mruczał, a na zakończenie śniadania pojawił się wspaniały tort czekoladowy. Dzieci nigdy jeszcze nie jadły czegoś tak pysznego, każde z nich zjadło więc po dwa duże kawałki, a z ostatnim kęsem zasnęły syte i znużone wrażeniami poprzedniego dnia.

Czarownica na to tylko czekała, w jednej chwili zrzuciła przebranie, chwyciła sękaty kostur i z kotem, który wskoczył jej na ramię, wyszła przed domek. Zaklęciami sprowadziła kruka, służącego jej za posłańca. Wydała mu polecenie w ptasim języku i kruk natychmiast odfrunął, a po małej chwili zaszumiało, zagwizdało i dwie wiedźmy, przyjaciółki czarownicy, przyleciały na miotłach na naradę.

Radziły, radziły, wreszcie ustaliły, że Jasia należy trzymać w klatce, utuczyć i upiec jak prosiaczka. Małgosia ma rąbać drzewo, sprzątać, nosić wodę, karmić kota i spełniać wszystkie polecenia czarownicy, która jest już stara, zmęczona i potrzebuje pomocy.

Po naradzie przeniosły uśpionego Jasia do klatki i zamknęły ją starannie, po czym obie przyjaciółki wiedźmy siadły na miotły i odleciały.

Straszne było przebudzenie dzieci! Nie pomogły prośby Jasia, daremnie płakała Małgosia. Czarownica już nie udawała miłej staruszki.

— Sprzątaj! Zamiataj! Bo każę kotu, żeby cię podrapał, ty leniuchu! — krzyczała do Małgosi.

— A z ciebie zrobimy rumianego prosiaczka! Dalej, otwieraj usta, zjadaj wszystko, tucz się! — wołała do Jasia, karmiąc go z wielkiego garnka.

Biedne dzieci, przestraszone skrzeczącym głosem i groźną miną wiedźmy, słuchały posłusznie jej rozkazów. Małgosia pracowała od świtu do nocy, a Jaś zjadał garnki klusek, zup i innych tuczących potraw.

Czarownica bała się tylko, by rodzice nie odnaleźli dzieci, wezwała więc znajomego smoka, aby dopomógł strzec jej tajemnicy. Smok zgodził się i unosił się nad lasem wydmuchując gęstą mgłę, która czyniła niewidzialnym domek czarownicy.

Pewnej nocy, gdy czarownica naradzała się ze swoim kotem, udało się Małgosi zbliżyć do klatki brata.

— Jasiu, Jasiu! Co robić? Kto nas uratuje? — płakała dziewczynka.

Jasiowi przypomniało się, jak tata mówił mu, że ma się opiekować młodszą siostrą, że mężczyzna musi być dzielny, zaczął więc pocieszać dziewczynkę.

— Uspokój się Małgosiu, na pewno coś wymyślę.

Małgosia trochę się uspokoiła, ale przez następne dnie nadal z lękiem oczekiwała chwili, kiedy czarownica zechce z Jasia zrobić prosiaczka.

Wreszcie wiedźma uznała, że Jaś już przytył dostatecznie. Kazała Małgosi rozpalić wielki ogień w kominie, wydostała z kąta łopatę do pieczenia chleba i wypuściła Jasia z klatki...

— No, kładź się teraz, mój prosiaczku! — zachichotała.

Jaś udał, że nie rozumie, o co czarownicy chodzi, siadł na łopacie okrakiem, a nogi zwisały mu do ziemi.

— Nie tak, nie tak! — złościła się stara. — Kładź się płasko! Ale Jaś usiadł „po turecku", co tak rozzłościło wiedźmę, że szarpnęła go za kurtkę.

— Co za niezdara, czekaj... złaź, sama ci pokażę! — zawołała. — Ty trzymaj łopatę...

Hop! skoczyła z rozpędu, aż jej chude nogi majtnęły w powietrzu, a potem przewróciła się do tyłu. Wtedy Jaś w okamgnieniu wsunął ją do pieca.

Buchnęło, zadymiło, posypało iskrami i z komina wyleciał z piskiem wielki czarny nietoperz. Kiedy smok zobaczył nietoperza, przyłączył się do niego i odlecieli hen, daleko... Nigdy już nie powrócili w te strony... Las był odczarowany.

Mgła opadła, odnalazły się pochowane przez wiedźmę ścieżki. Zewsząd wracały ptaki świergocąc radośnie, wiewióreczki śmigały rudymi kitkami skacząc z drzewa na drzewo, pracowite mrówki już zaczynały pracę nad nowym mrowiskiem, liliowe dzwonki rozkwitały wśród traw i cały las aż lśnił od barw, które smok dotąd zakrywał trującą mgłą.

Jaś uściskał zapłakaną Małgosię i zabrał się do kopania w ogródku, gdyż podsłuchał kiedyś, jak czarownica mruczała do kota o skrzynce pełnej złotych pieniążków. Po pewnym czasie łopata stuknęła o coś twardego i dzieci odkopały skarb.

Rodzice w tym radosnym dniu odnaleźli wreszcie ścieżkę i trafili do piernikowego domku. Jakże się ucieszyli widząc dzieci całe i zdrowe!

Wszyscy razem wracali szczęśliwi do domu, wiedząc, że dzięki znalezionemu skarbowi będą mogli założyć gospodarstwo i naprawić domek, do którego już nigdy nie zajrzy dokuczliwa bieda.

* * *

Szkoła Podstawowa
Nr. 2.
Ul. Rybacka

Cena zł 160,—

ISBN 83-7001-092-X